Lwów, 29. Maja. №63. Rok 1855.

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr. —kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycimy mód kwartal. 1 Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za następ. po 1 . kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

WIENIEC CIERNIOWY.

Epilog.

(Dokończenie.)

Ostatnia przemiana każdej twarzy, wykonana z poczwarnem mistrzowstwem, na które zdobyć się tylko może dzika i rozbujała wyobraźnia szaleńca, zawierała w sobie wszystkie najokropniej uwydatnione rysy, wszelkich najwyższych cierpień, jakie tylko człowiek przebyć może. Obraz twarzy piekielnemi mękami pokurczonych byłby niczem naprzeciw tych wyrazów, na które patrząc wzbudzał się strach, by się nie stać do nich podobnym.

Obie kobiety drżały okropnie, i ledwie na nogach utrzymać się mogły przerażone widokiem tych obrazów, z których te wszystkie twarze wyszczerzały się ku nim jakby widma piekielne.

— A tu ona! wyrzekł znowu Witołd.. oddzielona odemnie na wieki morzem krwi.

I poprowadził ich przed obraz środkowy, przy którym pracował. Był to ten sam obraz ś. Cecylji, przy którym już raz byliśmy wraz z naszym Łohatyrem. Okoliczności i zdarzenia, jakie zaszły później, nie dały mu go dokończyć dotąd. Snać teraz dopiero wziął się do ukończenia, i ukończył wedle teraźniejszych szalonych wyobrażeń swoich.

Strach i zgroza brały patrząc na ten obraz; włosy powstały biednym kobietom na głowach. Był to jak sobie przypominamy portret Antosi nadzwyczaj podobny, i podobieństwo zostało to samo, ale pokrzywione zbiorem wyrazów najstraszliwszych.

Wszystko w tym całym obrazie przedstawiało rozpacz i szaleństwo przyprowadzone do najwyższego stopnia, od palców zacząwszy, które w dziwnem pokurczeniu zdawały się dobywać z organów same jęki i zgrzytania zębów, aż do oczów, które piekłem uczuć zdawały się urągać niebu w jakie patrzały. I żeby na całej twarzy tak jeszcze pięknej, choć jeden zarys był jaśniejszy zwiastujący nadzieję. O nie! tam niebyło nigdzie nadziei; tam ciemna tylko rozpacz, jak ciemno i przepaścisto wygląda to niebo, w które nieszczęśliwa kobieta spogląda. Jedynem światłem tego obrazu była piorunna strzała z łona ciemnych ołowianych chmur wylatująca, która trafia w jakiś cudnej piękności gmach pękający pod strasznym ciosem, otoczony już wieńcem czerwonych płomyków, co mu zupełnem grożą zniszczeniem.

Matka i córka odskoczyły od obrazu przerażone do najwyższego stopnia. On zaś najspokojniej mówił dalej:

— To świat ku któremu idę... świat rzeczywisty... czekają tam na mnie moi znajomi, tacy jakiemi wszyscy być muszą kiedyś, znajomi moi ze świata marzeń, który przeminął... Bo marzenie przeminąć musi... jak każdy raj... a grzech.. to prawda... to życie... to rozpacz!...

Kobiety były bliskie zemdlenia, a przecież ostatnie zbierając siły, starały się krzepić, i Antosia mianowicie do ostatniej chwili nie chciała dać za przegranę. Czuła że jak raz ustąpi, wszystko przepadło...

— Witołdzie! synu mój! czy nie poznajesz mnie! przemówiła matka, i wyciągnęła ku niemu drżące ręce.

— Synem ja nie jestem! odpowiedział Witołd, powolnym mówiąc głosem, jakby za każdem słowem namyślał się, lub sobie przypominał. Byłem ja synem... ale matka porzuciła mnie... i darowała na pamiątkę... ten oto wieniec cierniowy.... Ojcem moim.... kto był ojcem moim? ojcem grzech! i z grzechu grzech! Ale ja nieżyłem już... bo mnie zabił... kto mnie zabił? Nie! ja zabiłem! Zbrodnia rodzi zbrodnię.

Ostatnie słowa wykrzyknął głośniej, i porwał się za głowę.

— Witołdzie! najdroższy sercu memu! czy niepoznajesz Antosi twojej? przemówiła dziewczyna modlącym głosem i wyciągnęła ku niemu ręce.

— Antosia! krzyknął przeraźliwym głosem. Idźcie precz odemnie! precz! wy mnie chcecie zdradzić... Antosi już nie ma... ale ja mam talizman! Patrzcie na tę obrączkę.. To talizman ze swiata marzeń! O cudny to świat!

W tej chwili, gdy podniósł oczy ku niebu, Witołd wyglądał jakby był zdrów, a na twarzy była piękność anioła.

— Witołdzie! zawołała raz jeszcze dziewczyna, i wznosząc ku niemu ręce, padła przed nim na kolana.. Antosia twoja błaga ciebie.

— Antosia? krzyknął znowu. Precz odemnie?.. Antosia tam została.. a tu krew... Czy mnie zdradzić chcecie.. Nie nie zdradzicie! Świat jest szeroki! szeroki! szeroki okropnie! A pusty i zimny! dodał cichym i żałosnym głosem.

I nagle porwał za przygotowaną już tekę z rysunkami, i szybkim krokiem wybiegł z pracowni.

— Witołdzie! zawołały za nim.

Echo tylko sklepień odpowiedziało im.

Wybiegły za nim.... lecz już go nigdzie nie dostrzegły.

Biedny młodzieniec szałem gnany wyskoczył poza furtę zakonną i w bliskim znikł lesie. Zdawało mu się ciągle że ktoś goni za nim. Trudno zapewne wyobrazić sobie po jakiej drodze, i w jakim szyku przemykają myśli szalonego człowieka, jest wszakże w nich pewny porządek, bo zwykle myśli te z jednego wychodzą wątka, i po jednych bieżą kolejach.

Witołdowi zdało się że go goni jakieś niebezpieczeństwo w postaci okropnego potworu, zaciemniającego przed nim świat cały. A więc uciekać, uciekać, bez końca uciekać mu wypadało.

W zamku słobudeckim złowrogie panowało milczenie. Pani Wolińska zaraz po powrocie z klasztoru w ciężką zapadła słabość; milcząc leżała, milcząc cierpiała, milcząc modliła się. Ona nie miała żadnej już nadziei, i niebyło też już dla niej ratunku.

Biedna Antosia ze złamanem sercem, siedziała przy łożu matki. Suche miała oczy, bo choć tak młoda jeszcze, przez tych dni kilka wszystkie najserdeczniejsze wypłakała łzy...

Z klasztoru i ze Słobódki nadaremnie wysyłano na wszystkie strony, szukając biednego szaleńca. Nikt go nie zdybał, nikt go nie widział; znikł biedny Witold bez wieści...

Szambelan, którego te dni kilka i przebyte zdarzenia, zgrzybiałym zrobiły starcem, zapomniawszy na ulubione dawniej wygódki swoje, sam jeździł i gońców na wszystkie rozsełał strony; wszystko było daremne.

Dnie, tygodnie i miesiące mijały, a o biednym Witołdzie żadnej nie miano wieści. Myślano jeszcze że się przyłączył do wojska polskiego; to była cała nadzieja kochających go.

Lecz przyszła jesień, przyszła zima, a z nią ten okropny odwrót wodza i wojska po raz pierwszy zwyciężonego. Straszne to były czasy, czasy powszechnej żałoby, żałoby serc, i żałoby, która kirem wszystkie niemal pokryła domy nasze, płaczące za poległemi krewnemi.

Szambelan mimo wieku i wzmagających się słabości, jeździł od pułku do pułku, od jednej garstki rozbitków do drugiej, od jednego biegał żołnierza do drugiego, i wypytywał wszystkich.

Czy żył z niemi, czy walczył, czy zginął? Nikt mu odpowiedzieć nie mógł; i czyliż nareszcie los jednego człowieka w środku zdarzeń tak olbrzymich, mógł jakikolwiek zostawić ślad po sobie.

Po tej drodze śniegiem i skrzepłą krwią przykrytej tyle zostało trupów; któż mógł dostrzedz jednego trupa więcej.

— Nie żyje! wyrzekła Antosia wracając z pogrzebu matki, która po kilkomiesięcznych cierpieniach skończyła umęczone swe życie, błagając przybranej córki swojej o przebaczenie.

— Nie żyje! powtórzyła wchodząc do samotnego zamku i suchem patrząc okiem na te ściany, nieme świadki minionych szczęścia chwil.

— Nie żyje już! powtarzała co dzień, i ubrawszy się na zawsze w żałobne szaty, zamknęła się w murach samotnego zamku, do którego tylko od czasu do czasu przyjeżdżał szambelan, zmieniony do niepoznania. Porzucił pretensje do młodości, i ze wszystkich dawnych pamiątek została mu najmilsza, tabakiera z miniaturą do Witołda podobną. Nie mógł się wszakże o tyle zaprzeć dawnych lekkich usposobień swoich, aby się w nim czasem nie odzywała nadzieja.

— Kto wie! może przecie przybędzie... mówił do Antosi z uśmiechem uprzejmym, słodziutkim, który dawne szambelańskie przypominał lata. Z tego względu powiedział mi raz Cagliostro...

— Wiem o tem! przerwała Antosia piękna zawsze, ale blada tą bladością cierpien moralnych, prubując uśmiechu, który twarz jej jeszcze smutniejszą robił. Ale on nie wróci! bo... umarli nie wracają! dodawała ciszej...

Lata mijały, i szambelan przestał przyjeżdżać do Słobódki, bo po krótkiem cierpieniu wyjechał na ostatnią swą podróż.

Umierając zostawił swój majątek cały do dyspozycyi Antosi, która miała go oddać Witołdowi, jeżeli się kiedy pojawi.

Antosia została jeszcze samotniejszą; całe jej towarzystwo stanowiła Ruzia, nasza dawna znajoma, która dawno już została żoną ogrodnika; przywiązana do swej panny, nie chciała ją opuszczać, i ona jedna ożywiała nieco ponurą zamku samotność sobą i kilkorgiem wesoło szczebioczących dzieci.

Jeszcze był jeden gość, który przez długi czas dojeżdżał do Słobódki. Był nim pan Artur, który odziedziczywszy po zmarłym chorążym ogromny majątek, stał się jednym z najzamożniejszych w okolicy obywateli. Uparty w swoich przedsięwzięciach chciał koniecznie przemódz obojętność a nawet odrazę, jaką mu pokazywała Antosia.

Lecz nadaremnie, Antosia oświadczyła mu wręcz, że nigdy za mąż nie pójdzie. Jakiś czas nie wierzył temu pan Artur, któremu zwierściadło tyle pięknych prawiło rzeczy. Lecz w końcu musiał uwierzyć, gdy raz, drugi i trzeci zamkową bramę w Słobódce zastał zamkniętą.

Znudzony wreszcie, zaczął wydrwiwać tę śmieszną stałość, i ażeby się pocieszyć, wyjechał za granicę. Co się tam z nim stało, i niewiem z pewnością, i nie warto wiedzieć; zwiększył zapewne liczbę tych, którzy rozwozili i rozwożą po świecie sławę naszych próżnych głów, i pełnych kieszeń,

przychodzących zwykle na końcu do smutnej aczkolwiek koniecznej równowagi.

Antosia pozostała wierną tej pierwszej i jedynej miłości swojej; niezwykłą obdarzona energią, nie poddawała się rozpaczy bez walki, ale też niechciała smutku próżnemi bawić rozrywkami.

Żałoby nie zrzuciła ani z twarzy, ani z sukien ani z serca, ale pracowała o ile mogła, aby te dnie jej samotne nie przechodziły bezużyteczne.

Majątek jaki przypadał na Witolda po matce i szambelanie, nie ruszała mając go za depozyt sobie powierzony, ale znaczne tego majątku dochody obracała na cele dobroczynne, do czego dodawała większą część własnych dochodów. To też po kilku leciech Słobódka stała się majątkiem wzorowym, co do dobrego i moralnego bytu włościan. Założyła szkółkę, i wyprosiwszy z klasztorku nad Wilją światłego zakonnika, wraz z nim była sama nauczycielką.

Takież same szkółki pozakładała w majątku po szambelanie pozostałym, a mnogiemi dobrodziejstwami obsypywała wszystkich biednych i nieszczęśliwych, mianowicie sieroty. W krótkim czasie stała się sławną w okolicy, z szlachetnych uczynków swoich. Najlekkomyślniejsi ludzie, musieli oddać jej sprawiedliwość, i podziwiać te zalety, któremi się odznaczała, nie odpowiadające zda się ani jej młodemu jeszcze wiekowi, ani znacznemu majątkowi ani urodzie niepospolitej, którą mimo smutku swego zachowała w całej świetności. Dziwili się nie mogąc tego pojąć, i niewiedząc co powiedzieć, a powiedzieć coś trzeba przecie było, mówili:

— Zacna kobieta.. szczęśliwa, bo niema temperamentu!...

Śmieszni ludzie!.. Oni tego zrozumieć nie potrafią nigdy, że istotna namiętność jest jak ogień, który pożre podlejsze kruszce, ale złoto czyściejszém jeno zrobić może.

Oprócz dobroczynności,zajęć domowych, i zamiłowania w czytaniu jakiego w samotności nabrała, najmilszą jeszcze dla niej było rozrywką, odwidzać klasztorek nad Wiliją, w którym na prożby jej, pracownia Witolda została w tym samym stanie, w jakim ją porzucił. Klucz od pracowni w jej był ręku, i ona tam przepędzała nie jedną godzinę życia swego w zadumaniu, które miało swe bole i swe rozkosze.

Tam żyła ona w przeszłości, i kolejno przechodziła myślą wszystkie najmilsze sercu pamiątki. A w przyszłości!.. może nieraz zadrgała nadzieja, która w sercu ludzkiem niezaginie nigdy..

Nadzieję tę nawet rozbudziła raz nowa i szczęśliwa okoliczność:

Daleka Antosi krewna jadąc raz na Litwę wstąpiła do niej, i naturalnie opowiadała jej o sobie, o mężu, o dzieciach, o domie gdzieś tam daleko nad brzegami Dniestru położonym. I opowiadała jej jak jej mąż, wielki lubownik sztuk pięknych, wystawił ładny kościółek, i właśnie zamyślał jechać do Lwowa aby sprowadzić jakiego dobrego i taniego malarza. W tem o póżnej dosyć godzinie, pojawia się jakiś podróżny, blady choć jeszcze młody, który szedł pieszo, mówiąc że chce zwidzić karpaty.

— Mój mąż, mówiła pani żona dalej, kazał mu dać jeść w oficynie, i tam to zapewne dowiedział się ten obcy że my chcemy kościółek nasz wymalować. Oświadczył się tedy że jest malarżem, i że tej roboty chętnie się podejmie. Mój mąż, człowiek bardzo rozsądny, wahał się, ale zobaczywszy jego tekę, w której były jakieś tam, jak to mój mąż nazywał, szkice.. przystał na to, aby obcy złożył próbę.

— I nie widziałaś tych szkiców? zapytała Antosia.

— Nie byłam ciekawa! ja się na tem nieznam, a właśnie mi wtenczas cała prawie obora chorowała.

Dosyć tedy że pokazało się, jak mi mówił mój mąż że on bardzo pięknie malował, i jak się wziął do tego, tak za dwa miesiące pomalował wszystko.. i mój mąż był bardzo kontent..

— I nie widziałaś go... nie mówiłaś z nim?..

— Widziałam go z daleka parę razy, bo on zawsze jadał w oficynie... naturalnie u nas w pałacu jadać nie mógł.. ale jak wyglądał nie umiałabym powiedzieć; już to podobno był zarosły mocno... i chudy... a zresztą niewiem. Mówić oczywiście ani myslałam z nim, bo i cóż bym była z nim mówić mogła. Zgadzinska, moja panna garderobiana, mówiła mi podobno, że on dosyć przystojny, ale strasznie cichy, mało mówiący... ciągle tylko malował.. modlił się wiele.. i podobno był troche fixat.

Jakto? z kąd że to poznałaś...

— Niepamiętam!. aha... podobno miał jakiś pierścionek który często całował.

— Pierścionek!.. zawołała Antosia drżącym głosem, i spojrzała z dziwnem uczuciem na swój własny pierścionek, który ją nigdy nie opuszczał.

— A może to i nie był pierscionek, bo prawdziwie niepamiętam.. wtenczas właśnie grasowała motylica w naszej okolicy; nieuwierzysz co to za straszliwa słabość... i co mieliśmy straty.. Ja ci powiadam że to wielkie gospodarstwo...

— I cóż się stało dalej?..

— Na trzysta owiec jakie mieliśmy..

— Ja się pytam o malarza...

— A! o malarza!.. no cóż.. wymalował, i jak się pokazało bardzo dobrze wymalował, mnie się niekoniecznie podobało, bo jakoś smutno było w kościele.. Było coś w obrazach.. coś takiego...rozumiesz mnie!.. ale mój mąż był kontent.. i dosyć natem, że sobie znowu poszedł.

Ale co najciekawsza, i co dowodzi że on był fixatem, to było to, że gdy mąż mój, który lubi protegować sztuki piękne, chciał mu zapłacić, i coś nawet znacznego, podob-

no pareset renskich w banknotach... nie chciał przyjąć, powiedział tylko.. ja nie maluje za pieniądze... rozdaj to ubogim... a ja będę dosyć nadgrodzony... Mój mąż oczywiście zmiarkował także że to fixat, schował pieniadze do kieszeni a i tak okropnie nas farby kosztowały.. a pieniądze zdały się na kupienie owiec..

— A malarz?..

— Malarz!.. alboż ja wiem co się z nim stało.

Ledwie szanowna kuzynka z nad Dniestru wyjechała, Antosia przygotowawszy się do dłuższej podróży, pojechała do Galicyi, i tam w okolicy naddniestrzanskiej dowiadywała się z największą troskliwością o wędrującego malarza. Nie wiele więcej się dowiedziała, bo kogo na tym świecie może obchodzić jakiś tam malarz wędrujący. Mówiono tu i owdzie, że był tam kiedyś, tu w cerkwi malował, tam obraz w kościele naprawiał.. i wszyscy się godzili na to, że był to człowiek cichy, spokojny, ale szczególny nieco... na zapytanie jak wyglądał, odmalowano oczywiście sto portretów, a każdy inny, bo każdy ma swój sposób widzenia, a mianowicie gdy patrzy na człowieka lub przedmiot, który go nie obchodzi.

Gdzie się podział niepodobieństwo było się dowiedzieć, i po kilku miesiącach daremnej wędrówki, wróciła Antosia z niczem, nie mogąc nawet wiedzieć z pewnością, czy to on był, czy nie?..

Tym sposobem minęło łat kilkanaście. Przeszły one cicho i spokojnie dla naszej bohatyrki, która wśród pożytecznych zajęć swoich, pozornie przynajmniej odzyskała spokojność duszy. Od dawna już straciła wszelką nadzieję widzenia kiedykolwiek przyjaciela i kochanka swej młodości; z młodej hożej i pięknej panienki. stała się piękna jeszcze ale pochylająca się już ku przedwczesnej starości kobieta. Obowiązki jakie wzięła na siebie dopełniała święcie, a czy była szczęśliwą, nikt o to się nie pytał, i nikt wiedzieć nie mógł, bo jej twarz zawsze miała wyraz poważnej słodyczy i blogiego spokoju... zostało to na zawsze tajemnicą, którą ona bogu tylko w czystych swych udzielała modlitwach.

Samotna cisza zamku Słobódeckiego, ożywiła się nagle odgłosem zbliżającej się wojny. Było to w roku 1831. Serce Antosi zadrzało na wspomnienie onego ruchu wojennego, który był świadkiem jej najpiękniejszych nadziei, i najokropniejszego nieszczęścia. A gdy poraz pierwszy usłyszała wojskową muzykę grającą nuty tak jej pamiętne, biedna kobieta przycisnęła ręce do bijącego serca.. Żywo przypomniała sobie sceny na zawsze... minione.. Lat osiemnaście przeszło po nich!.. cóż się z nich pozostać mogło?.. groby nieme i martwe pamiątki...

Zadumana nad przeszłością siedziała razu jednego przy oknie, które wychodziło na ów stawek, i gaik brzozowy, po których tyle dawnych myśli i uczuć rozsypało się, i przebrzmiało na zawsze.

Nagle strzały bardzo bliskie zbudziły ją z marzeń; tuż prawie pod zamkiem garstka powstańców polskich walczyła z liczniejszem wojskiem... Przestraszona padła na kolana, i zaczęła się modlić za walczącemi.

Strzały coraz więcej się zbliżaly; kilka padło nawet na samym dziedzińcu.

— Boże ratuj ich!.. modliła się Antosia, gdy nagle drzwi się otworzyły, i wszedł przez nie mężczyzna, w stroju którego barwy zwiastowały, że należy do powstańców.. Ramię miał zranione; krew się sączyła pomału z po za białej chustki, którą rana była obwiązana, a w ręku miał szablę krwią także zbroczoną.

Wszedłszy stanął nagle, i zaczął oglądać się z dziwnym wyrazem pomieszania...

Antosia zerwała się, i szybko przystąpiła ku nieznajomemu.

— Może pomocy jakiej potrzeba?.. spytała.

— Nie!.. mówił nieznajomy z roztargnieniem, ja chciałem tylko przestrzedz mieszkańców, że... półgodziny ledwie trzymać się możemy... i boję się aby wróg.. nie mścił się na tym zamku... ten pokój!.. boże!.. zawołał głośniej i silnym ruchem ręki porwał się za głowę, na której znak był dawnej blizny..

— O mnie się pan nie bój!. ale pan jesteś ranny?... zaczęła Antosia i urwała nagle wpatrując się w nieznajomego z wzrastającem wzruszeniem.

— Witołdzie! krzyknęła nagle, i przyskoczyła do niego, porywając go za rękę, jakby się bała, by jej znowu nie umknął.

Nieznajomy raz jeszcze oglądnął się w koło siebie, a gdy głos uslyszał, łzy mu się nagle puściły i po bladem potoczyły licu.

— Antosiu!.. zawołał głosem przeraźliwym.

I rzucili się w objęcia swoje, płacząc jak dzieci.

— Witołdzie! ty już zostaniesz!.. tyś ranny!.. Witołdzie!.. ja cię tak dawno czekałam..

— Antosiu!.. odrzekł Witołd!.. nie dla nas szczęście, nie dla dzieci tej nieszczęśliwej ziemi...

I znowu porwał się za głowę...

— Boli cię! zawołała Antosia odgartując włosy!..

— Wieniec cierniowy!.. odrzekł smutnym i na pół obłąkanym głosem.. to nasze godło!.. bądzmy mn wierni!.. aż do zmartwychstania.

— Witołdzie zostań!..

— Ja muszę naprzód!.. naprzód!.. czy słyszysz?

W tej chwili nowe ozwały się strzały...

— Ja cię schowam Witołdzie!..

— Tam czekają na mnie!... Antosiu bądź zdrowa!.. na wieki... tam... zobaczymy się!..

I jeszcze raz ją uścisnął, i szybkiem z pokoju wybiegł krokiem. Antosia padła zemdlona na podłogę..

Gdy przyszła do siebie, wierna Rusia rozpowiedziała

jej, że garstka powstańców z dziką walecznością przebiła się przez znaczne wojska zastępy, które pogoniły za nią..

I znowu było cicho i samotnie w zamku Słobódeckim. Wrzawa wojenna w inne przeniosła się strony, i ta wrzawa po kilku miesiącach umilkła zupełnie.

Co się stało z Witoldem, nigdy już Antosia dowiedzieć się nie mogła. Czy zginął w powstaniu, czy tula się po zimnej cudzyznie?.. nikt nie wiedział!.. Antosia chyląc się do wczesnego grobu, majątek Witołda wysłała za granicę dla tulających się rodaków.

Józef Dzierzkowski.

SPIEWAK.

Ktoś zastukał do okienka
W polu u tych chat,
I ozwała się piosenka,
Jak majowy kwiat.

— Otwórz matko! gdy powrócę
Dam ci złota dość;
Dzisiaj pieśnią was rozsmucę,
Nie tej ziemi gość!..

— Niechcę pieśni, idź do licha!
Chatka szczęścia chce,
A gdy w smutku pierś nam wzdycha
To nieszczęściem zwie.

Otwórz, otwórz mi do chatki,
Szczęście niosę ci,
Dla twej córki niosę kwiatki;
Matko otwórz mi!

— Niechcę kwiatka, kwiat usycha,
Moja córka spi,
A po kwiatkach tylko wzdycha,
I dziwacznie śni.

— Otwórz matko, dla nagrody,
Powieść smutną dam,
Smutne powiem wam przygody,
Com przecierpiał sam!.

— Nie chcę gadki, to nieznośnie
Widzieć cudze łzy.
Przy powieści serce rośnie,
I są dziwne sny.

— Jedną nockę, proszę ciebie,
W chatce prześnić daj,
Wskażę wam aniołów w niebie,
I stracony raj.

— Nie chcę nieba — póki dusza
Żyć na ziemi chcę,
Myśl o niebie pierś porusza,
Żądza serce rwie!

I zapłakał spiewak młody
Do tak srogich słów,
Usiadł pod oknem zagrody,
I zanucił znów.

Nim się wszystko uciszyło,
I nim miesiąc zbladł,
W chatce córki już nie było,
Spiewak poszedł w świat.

J. C. Z.

Józef Korzeniowski.

Autor ten tylu dramatów, komedyi i powieści, jest podwójnym ziomkiem naszym, bo i Polakiem i Galicianinem. Urodził on się d. 19. marca 1797 r. o pół mili od Brodów, gdzie ojciec jego posiadał mały folwarczek otoczony ogrodem i ślicznym lasem. Tam przepędził pierwsze swe lata dziecinne, i z tych pierwszych pamiątek i wrażeń, pozostało w nim zapewne to upodobanie do scen cichych sielskich, które umie on z takim wdziękiem oddawać. Normalne szkoły odbył w Brodach, i tam już w naukach celował, a tak szlachetną był obdarzon ambicyą, że gdy w drugiej klasie minęła go nadgroda spodziewana i zasłużona, odchorował on tę pierwszą niesprawiedliwość ludzką.

Pierwszą klasę gymnazyalną odbył w Zbarażu, a później gdy się pojawił jakiś majętny i bezdzietny kuzyn mieszkający na Bukowinie, który go wziął do siebie na wychowanie, wyjechał do Czerniowiec. Jadąc tam przez Lwów był w teatrze po raz pierwszy, co zrobiło na nim tak silne wrażenie, że pamięć tych przedstawień utkwiła mu na zawsze w myśli.

W Czerniowcach zdał drugą klassę, i zapewne byłby tam pozostał, i inny może obrawszy zawód, inne zupełnie przebył życia koleje, gdyby go żona owego kuzyna nie namówiła do napisania powinszowania matce i listu do ojca po niemiecku. Ojciec Korzeniowskiego szlachcic stary całą gębą, tak się rozgniewał że nie zważając na świetne nadzieje syna przy bogatym krewniaku, odebrał go zaraz, i chroniąc go od zniemczenia, nie zważając na koszta przechodzące jego stan majątkowy, wyprawił w 1808 r. do szkół Krzemienieckich, które wówczas właśnie nabierały tej sławy i wziętości, jaką się przez lat tyle szczyciły, i potem sam wyprzedawszy się w Galicyi przeniósł na Wołyń. To nadało całemu życiu Korzeniowskiego inny zwrót i inny kierunek.

W Krzemieńcu przebył Korzeniowski lat 11 jako uczeń, a od 15 roku życia sam się już utrzymywał będąc, jakto było zwyczajem w Krzemieńcu, dozorcą młodszych i majętniejszych uczniów. W r. 1819 dostał się do Warszawy jako nauczyciel dziesięcioletniego chłopczyka pełnego nadziei, należącego do jednego z najznaczniejszych domów w Warszawie; później przyjął obowiązek dozoru, i ułożenia biblioteki ordynacyi Zamojskich, i zostawał w domu Ordynatów aż do r. 1823.

W tymże samym roku ożenił się Korzeniowski z córką znakomitego rysownika Zygmunta Vogla. Czując potrzebę zabezpieczenia sobie losu na dal, starał się o służbę publiczną. Katedra literatury polskiej po Felińskim wakowała w Krzemieńcu przez dwa lat; o nią ubiegał się Korzeniowski, i uzyskał ją w r. 1823.

W Krzemieńcu przebył lat 10, wykładając kurs wymowy, poezyi i literatury polskiej. *Kurs poezyi* jego własnego układu, drukowany w Warszawie przyznanym został przez *Radę wychowania*, za dzieło podręczne dla szkół w królestwie polskiem. Gdy w roku 1833 liceum Wołyńskie przeniesionem zostało do Kijowa, a kurs literatury polskiej został skasowanym, otrzymał Korzeniowski nominacyę na profesora adjunkta *języka łacińskiego i starożytności rzymskich* w Kijowie; wykładał prócz tego *Mitologią starożytną*, i przez czas krótki kurs lieratury polskiej, który trwał tylko pół roku.

W roku 1838 reskryptem ministra łoświecenia naznaczony dyrektorem gimnazyum w Charkowie, przeniósł się do Malo-Rossyi, i tam bawił aż do r. 1846. Odwiedziwszy Warszawę w r. 1844. zachęcony pochlebnem ziomków przyjęciem, nabrał ochoty przenieść się do tej stolicy, sądząc że w niej otoczony współczuciem rodaków, nowych nabierze sił. Jakož uzyskał posadę dyrektora gimnazyum w Królestwie, i od r- 1846 bawi ciagle w Warszawie, zajmując kolejno posady dyrektora gimnazyum gubernialnego warszawskiego, wizytatora szkół, a nakoniec członka rady wychowania i wizytatora.

Autorki zawód Korzeniowskiego rozpoczął się jeszcze w latach pierwszej młodości. Będąc w szkołach jeszcze, pisał ody w formie J. B. Russa, i listy poetyczne, które zwróciły już nań uwagę Krzemienieckiej publiczności. Niektóre z tych pierwszych prac jego drukowane były w *Czwiczeniach naukowych*, pismie peryodycznem wychodzącem w Krzemieńcu, a złożonem z samych utworów uczniów krzemienieckich.

Do dramatu wziął się po raz pierwszy w pierwszej epoce pobytu swego w Warszawie. Znajomość języka niemieckiego w szkołach galicyjskich nabyta pociągnęła go do czytania arcydzieł Szyllera, i innych niemieckich autorów, i Szekspeara w tłumaczeniu niemieckiem; wszakże by go lepiej studiować, nauczył się później po angielsku. To zwróciło talent jego ku dramatom, i ku szkole romantycznej, jakkolwiek by dogodzić ówczesnemu gustowi i sławnemu z nienawiści romantyków Alojzemu Osińskiemu, do którego był napisał list poetyczny o trudnościach sztuki pisania, tłumaczył i on niektóre klasyczne utwory jako to: *Zairę Woltera, i pory roku Tompsona*. Później tłumaczył *Intryge i Miłość*, *Maryą Stuart* i część *Wilhelma Tela Szyllera*. Pierwszym utworem jego na polu dramatycznem była *Klara*.

W Krzemieńcu jako professor już, napisał *Anielę*, dramat pięcioaktowy, który wraz z Klarą pod nazwą *Próby dramatyczne* drukowanym był r. 1826 w Poczajowie. W krótce potem napisał 3 aktowy dramat *Mnich*, *Fragment* opowiadanie wierszem; *Dymitr i Marya*, *Piękna Kobieta* i t. d.

Nie będziemy tu wymieniać po kolei wszystkich jego utworów dramatycznych, które znane są tak dobrze i powszechnie, mianowicie u nas którzy po większej części mieliśmy to pochlebne pierwszeństwo, że jego dzieła dramatyczne najprzód występowały na scenie naszej, słusznie zawsze oceniane przez naszą powszechność uznającą wysoki talent autora. Ośmioletni pobyt Korzeniowskiego w Charkowie jest czasem jego pracy najdojrzalszej, i największej płodności pióra, i tam także pod koniec już pobytu swego, wziął się po raz pierwszy do powieści obyczajowej, i od razu stanął pemiędzy pierwszemi powieściarzami naszemi.

Prócz powieści które są we wszystkich rękach, i do których co roku coś nowego przybywa, tak że już przeszło dwadzieścia tomów wynoszą, mamy jego pióra, dramatów większych pięć, czteroaktowych trzynaście, jednoaktowych cztery, prócz tego komedyi większych pięć, a mniejszych 38.

Podziwiać potrzeba zaprawdę tę nadzwyczajną płodność, obok żmudnych i czas zabierających zajęć profesorskich którym przez całe życie był oddany.

Wystawa przemysłowa w Paryżu.

Dnia 15 Maja odbyła się uroczystość otworzenia pałacu wystawy. Co do samego pałacu, jakkolwiek olbrzymie są jego rozmiary, nie odpowiada oczekiwaniom, wedle których spodziewano sie cudu. A tymczasem wszystkie zdania zgadzaja się na to, że daleko kształtniejszym jest pałac krzystałowy londyński. Mianowicie zarzucają całemu budynkówi ciężkość tak w całości, jako i w szczegółach, powiadają nawet, że cesarz Napoléon zupełnie nie jest z niego zadowolony. Odwiedzając Sydenhamski pałac, oświadczywszy podziwienie swoje, miał się do pana Paston odezwać: „My niestety! nie możemy we Francyi nic tak wspaniałego wystawić, brakuje nam pieniędzy.« „Nie pieniędzy to brakuje, odpowiedział Paston. Pałac Waszej Cesr. Mości kosztował 6 milionów więcej od naszego.

Mimo słotnego i zimnego dnia tłumy ciekawych zapełniały pola Elizejskie, oczekując na przybycie cesarza na godzinę 1szą zapowiedziane. Tłumy te różnobarwne, cisnące się ku głównemu wnijściu, przed którym wznosiły się lekkie i kształtne słupy z broni, chorągwi i kwiatów utworzone, sprawiały widok bardzo zajmujący. Przed bramą szeroką otwartą stały dwa świetne szeregi cesarskiej i miejskiej konnej gwardyi. Przez tę bramę lud ciekawie zaglądał aż do głębi, która z tronem dla Cesarstwa przygotowanym, w dalekiej perspektywie ślicznie się wydawała. Cała przestrzeń aż do tronu zasłana była kosztownemi kobiercami,, na których poustawiane były aksamitem wybite ławki dla rozmaitych ciał urzędowych, jakoto senatu, najwyższego sądu, uniwersytetu i t. d. których członkowie w swych strojach różnorodnych dodawały całej scenie wiele malowniczości. Widok tego podwójnego szpaleru najlepiej wydawał się z galeriów, zapełnionych aż do ścisku prawie, gdy natomiast wnętrze dolne, czyli raczej część onego drewnianą kratą od drogi tronowej oddzielona, bardzo skąpo obsadzoną była. Na galeryi były same tylko zaproszone osoby, a na dole, posiadacze biletów na całą porę wystawy służących, i właściciele przedmiotów wystawionych. Zaproszeni zaś na galeryjach dostawali bilety zapraszające od księcia Napoleona jako prezesa wystawy, napisane z grzecznością prawdziwie francuzką. Pomiędzy widzami na galeryi tuż naprzeciw tronu, czy to naumyślnie czy przypadkowo zasiadły najpiękniejsze a strojne kobiety, jakby klomb z pysznych a żywych kwiatów ułożony. Mężczyzni wszyscy w czarnych frakach i białych krawatach nie wiele przykładali się do podniesienia tego ogólnego wrażenia jakie sprawiał widok całości, wrażenia rzec by można zupełnie nie uroczystego, nie historycznego.

Dla tych mianowicie co znali ów bajeczny zaczarowany pałac z samego żelaza i szkła w Sydenham, było to uczucie jakieś upokarzające, patrzeć na tę francuzów wyższość w całym świecie uznaną, tutaj tak smutnie poniżoną. Mimowolnie przychodziło na myśl skarlenie wszystkiego teraz we Francyi. Do wrażenia tego i to przykładało się, że prócz środka na uroczystość przeznaczonego, wszystkie wnętrza części okazywały ten dla oka niemiły nieporządek, niepozostawionych jeszcze w ład, po części w pakach spoczywających przedmiotów wystawy. (D. n.)

Rozmaitość.

*** Z nad ujścia Wisloki.** (Dokończenie.)

Ogłoszenie tymczasowego prawa o służących któreśmy w «Czasie» złemu zaradzonem będzie. Przepisy te jednak mimo praktyczności doznają zapewne wiele trudności, a najgłówniej, że urzęda gminami zarządzające, to jest dzisiejsi wójcia czyli przełożeni gmin nie mają żadnej oświaty i wykształcenia i że o ten szkopuł ciemnoty każden postep i porządek rozbić się musi. I zapewne ztej przyczyny te tymczasowe rozporządzenie o służących tylko dotąd z »Czasu« nam jest znajome, bo w życie ono nie weszło.

Wyglądamy także z niecierpliwością organizacyj. bo za nią nastąpi więcej porządku w miasteczkach gdzie urzęda będą. Teraz bowiem często nam się zdarza że ogołoceni jesteśmy z wszelkich potrzeb do życia tak jak gdybyśmy byli pod murami Sebastopola a nie ma żadnego Roebucka żeby się za nami ujął. I tak w miasteczku Mielcu mającem kilka tysiący mieszkańców, zdarza się często, że ani mięsa, ani tytoniu ani tabaki, ani świec, ani kawy, ani cukru niema, a za maleńkie pudełko patyczków do zapalania 1 kr. w srebrze sobie płacić każą. Nieraz posłaniec powróci i nieprzyniesie poczty mięsa i tytoniu; przypominam sobie następującą anegdotę.

Pewien postępowy gospodarz sprowadził leśniczego, który jako examinowany trudnił się miernictwem, otóż podzieliwszy już nie wiem na wiele rąk pola, podzielił także las na wyręby. Na podzielonym i malowanemi słupkami oznaczonem polu nie bardzo się rodziło, bo naturalnie postęp wymagał siać więcej trawy i chwastów jak zboża, z tąd brak w kieszeni; trzeba się było zatem wziąść do lasu, naprzód poprzecinano linie szerokie, potem wręby i szło niezgorzej, pieniądze były, a chociaż lasu ubywało zostawały nasienniki wiele na przyszłość obiecujące. Ale cóż kiedy jakoś i las chociaż porządnie rąbany niewystarczył, a na nieszczęście leśniczy pomylił się i na nasienniki same samce zostawił; trudno je było zostawiać, wycięto je co do nogi, a na to miejsce zaczęto porządnie zasiewać i zasadzić las młody. W kilka lat ów postępowy gospodarz sprowadził znów ale nie leśniczego, ale przyszłego dziedzica. Otóż obwożąc go wszędzie gdy do lasu przyjechali, pokazał mu malowane słupki las świeżo zasiany, i spytał zarozumiale po niemiecku, «A co prawda jaki tu porządek?» A przyszły dziedzic odpowiedział zimno. «Freilich Ordnung ist da, aber wo ist der Wald!.

Jak też to ciasno musi być w tem Krakowie kiedy nawet koncert panny Jadwigi Brzowskiej nie miał miejsca jak to kronika z dnia 10 maja w Numerze 106 «Czasu» donosi.

* W zeszłą sobotę wieczór o 10tej godzinie przybyła Arcyksiężna Elżbieta do naszego miasta; Najdostojniejszy Arcyksiąże Karol Ludwik przyjmował Ją w apartamentach dla niej przygotowanych. Towarzyszyli Jej: Hrabina Salis, dama honorowa i hr. Thun, major od huzarów i szambelan. Na drugi dzień z rana udała się Najdostojniejsza Arcyksiężna Pani piechotą do kościoła jezuickiego; po wysłuchaniu mszy świętej, pożegnawszy się z naszym Arcyksięciem odjechała o poł do 9.ej do Tarnopola.

* Dziś na dochod nadwornego tenorzysty p. Steger opera „Niema z Portici.“

* Jutro przedstawienie teatralne na rzecz tutejszego zakładu dla ubogich. Grane będą «*Robert der Teuxel,*» «*Doktor Robin.*» i balet «*le Postillon et la Vivandiere,*» w którym panna Lanner i panowie Frappart i Levasseur występują po raz ostatni odłożywszy swoj wyjazd z przychylności ku celowi dobroczynnemu.

Rozwiązanie Szarad w Numerze 45.

1. Kucharka. 2. Szaran. 3. Panna.

Szarady:

1. Pierwsze sylaba, drugie liczbę znaczy
Trzecie z czwartym, ten zrobi co o przyszłość dbały,
A wszystko razem tak się wytłomaczy
Że to jest miasto sławne z Bożej chwały.

2. Pierwsze litera, dodaj dwie sylaby
Pierwsze z ostatnim owad zły choć słaby,

Wszystko to jest miasto, które grozić chciało,
Ale mu się nie udało, i po nosie dostało.

3. Pierwsze jest sylaba, a drugie i trzecie,
Choć zwierzętom właściwe mają ludzie przecie,
Wszystko, jeść lubione, gdy dobrze zrobione.

Przyjechali od dnia 27. do 29. Maja. do Lwowa.

PP. Rodkiewicz Seweryn z Łyskawiec Jabłonowski Józef z Rawy. Dobrzański Stanisław z Daszawy. Czermiński Stanisław z Żółkwi. Okornicki Felicyan z Rozdołu. Komarnicki Jan z Magierowa. Krajewski Mikołaj z Turzeg Wiśniowski Wiktor ze Strzelisk. Dobrzański Eugeniusz i Julian z Milatyna. Smarzewski Seweryn z Hankowic. Wiśniewski Ludwik z Putiatycz. Paskudzki Ignacy z Zendowic.

PP. Jałowicki Julian z Czortkowa. Badeni Alex. hr. ze Stryja. Mierzyński Rafał z Barwłowa. Skarbek Alfred hr. z Tarnopola. Rylski Henryk z Dłużniowa.

PP. Paygert Adam ze Sidorowa. Paygert Stanisław z Krzywiec Olchowski Jan z Winiatycz. Gumowski Hieronim z Przemyśla. Biliński Onufry z Chocin. Abrahamowicz Józef z Wiednia. Hoffmann Jan z Pesztu. Dieduszycki Alex. hr. ze Stryja.

Wyjechali od dnia 27. do 29. Maja ze Lwowa.

PP. Zieliński Józef do Tarnopola. Jaworski Apolinary do Ordowa. Jaśiński Jan do Zabłotowa. Jaźwiński Alexander do Bortnik. Towarnicki Józef do Jaryczowa. Dieduszycki Władysław do Poturzycy. Smarzewski Seweryn do Czortkowa. Terlecki Antoni do Łanowiec. Czajkowski Izydor do Spasu. Karnicki Teodot hr. do Michałowic.

PP. Papara Henryk do Zubowmostów. Rojowski Felix do Cieszanowa. Bobrowski Klemens do Korsowa. Hohendorf Edwin do Byszowa. Płocki Konstanty do Stanisławowa.

PP. Komorowski Henryk hr. do Pawłowa. Obertyński Alex. do Laszek. Abrahamowicz Józef do Zabłotowa. Dobrzański Juliusz do Milatyna. Wiśniewski Wiktor do Stryja.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**